

Maria Polańska

# **Kolonie i obozy**

czyli skrywana prawda





Maria Polańska

# **Kolonie i obozy**

---

czyli skrywana prawda



Kolonie i obozy, czyli skrywana prawda

wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-66915-43-5

© Maria Polańska i Wydawnictwo AgraFka 2022

REDAKCJA I KOREKTA

Sylwia Lewandowska

SKŁAD I ŁAMANIE

Studio Grafpa, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)

OKŁADKA

Krzysztof Fabrowski

DRUK I OPRAWA

Print Group

WYDAWCA

Wydawnictwo AgraFka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclaw

[www.wydawnictwoagrafka.pl](http://www.wydawnictwoagrafka.pl)

Dla Zysi. Dziękuję, że jesteś.

## Krótką historia kolonii

**O**d kiedy istnieją kolonie? – Pewnie od zawsze – odpowiedziałaby niejedna zapytana osoba. Naprawdę istnieją od 1882 roku.

Z pierwszego wyjazdu skorzystało pięćdziesięcioro dzieci warszawskiej biedoty, które zostały wysłane na wieś, jak pisano po „słońce i zdrowie” przez Towarzystwo Kolonii Letnich doktora Stanisława Markiewicza. To dzisiaj tyle, ile liczy jedna mała kolonia. Za pośrednictwem ówczesnego „Kuriera” zamieszczano apele skierowane do ziemian, aby podarowali na okres od czterech do sześciu tygodni miejsca dla trzydziestki dzieci. Zawsze znajdowali się chętni. Właściciele majątków nie tylko zapewniali wygodne pokoje, ale i zaopatrywali placówki w świeżą żywność, jak podają źródła „w obfitych ilościach”. Ci bardziej hojni darowali nawet odzież. Organizatorzy poczuli się do obowiązku zagospodarowania kolonistom wolnego czasu. Urządzali przeróżne zabawy, przejażdżki bryczkami, końmi, no i najbardziej przez dzieci oczekiwaną kąpiel w rzece. Nic dziwnego, że liczba chętnych na taki wyjazd, w dużym tempie wzrastała. W 1890 roku skorzystało z niego już pięćset czterdzieści dzieciaków. Niestety, zawsze było więcej chętnych niż miejsc. Wiarygodne źródła podają, że w 1903 roku na kolonie letnie zapisało się ok. sześciu i pół tysiąca dzieci, a wysłać zdołano jedynie dwa i pół tysiąca. Znanym propagatorem wyjazdów dzieci i młodzieży na kolonie i obozy był Janusz Korczak. Ten wspomniały pedagog pełnił również funkcję wychowawcy

kolonijnego, zwanego wówczas dozorcą kolonijnym. W latach międzywojennych do znacznego rozwoju wyjazdów dzieci przyczynił się Związek Harcerstwa Polskiego. Od tego czasu nastąpił podział na kolonie i obozy harcerskie. Po II wojnie światowej zanotowano największy rozwój wyjazdów na wypoczynek. W miejscowościach nadmorskich powstawały ośrodki wczasowe i typowo kolonijne. Wyjazdy kolonijne w czasach PRL-u to był prawdziwy folklor. Stanowiły okno na świat, uczyły samodzielności, dostarczały zabawy, pozwalały dzieciom oderwać się od szarej codzienności, a co najważniejsze, zostawiały po sobie niezatarte wspomnienia. Bo tamtych kolonii, jak podkreślają ich uczestnicy, nie sposób zapomnieć. Jako uczestniczka kolonii byłam wysyłana w tym czasie na wypoczynek, najczęściej nad morze i potwierdzam prawdziwość tych słów.

## Rzeczywistość kolonii z okresu PRL-u

**D**oskonale pamiętam, że do miejsca pobytu dojeżdżałam samochodem bagażowym, a może to był samochód ciężarowy z plandeką. Do niego wstawiano drewniane ławki, często z zadrami, robiącymi w świeżo zakupionych ubraniach dziury. Nikt nie marudził, że trzęsło, że był kurz i brud, że przez okna patrzeć nie można było, bo po prostu ich brakowało. Walizki z tektury, najczęściej w kolorze brązowym, stały z boku, a torby z kanapkami i z obowiązkowym kilogramem papierówek, wskazane było trzymać na kolanach. Z uśmiechem lub ze łzami w oczach zegnaliśmy rodziców na długie trzy tygodnie.

Pobyty kolonijne organizowano w szkole. Klasy pełniły funkcje tymczasowych sypialni. Były tam metalowe łóżka, obdarte z białej farby, ze świeżą pościelą. Ustawione były ciasno jedno obok drugiego. Pod nimi mieściła się owa tekturowa walizeczka, wypełniona po brzegi ubraniami ułożonymi w kostkę, oraz tym wszystkim, co rodzic uważał za niezbędne. W pobliżu drzwi stał wykrochmalony parawan koloru białego, a za nim azyl wychowawczyni jak w każdej szkole. Na piętrze mnóstwo ubikacji i umywalek pełniących funkcje dzisiejszych łazienek. Tu skrępowania podczas mycia nie było. Wychowawczyni tylko od czasu do czasu zaglądała i sprawdzała, czy aby na pewno nie oszczędzamy na



mydle. Nie ma się co dziwić, tym samym przeciwdziałała przykrym zapachom w wieloosobowych sypialniach. O czystość sali dbali koloniści. Zdarzało się, że dopiero po raz pierwszy spotkali się z czynnością zamiatania czy mycia podłogi. Tu mamusi nie było. Przyszedł wreszcie czas na usamodzielnienie. To był i nadal jest duży plus każdego kolonii.

Do jednych z atrakcji, należały kąpiele w rzece. Raz na tydzień, łączono je z myciem głowy. Największy problem miały dziewczynki z długimi włosami. Nic też dziwnego, że tuż przed wyjazdem, większość przyszlých kolonistek często zmieniała fryzurę na tak zwaną „chłopczycę”. Mama wytłumaczyła, że włosy szybko odrosną i bez większego sprzeciwu córki szły z mamą do fryzjera. Myjąc głowy w rzece, mogliśmy wejść do wody, jedynie na głębokość kolan. Nie było ratownika, a nad naszym bezpieczeństwem czuwały panie wychowawczynie. Nietety, jako że woda była płytka, po umyciu, okazało się, że piachu we włosach było co niemiara. Nikomu to jednak nie przeszkadzało.

W swoich walizkach mieliśmy między innymi papeterie spakowaną przez mamę, rzecz jasna, podobnie jak wszystko inne. Każde z nas miało nakazane, napisać zaraz po przyjeździe. W ówczesnych czasach kontakt odbywał się tylko drogą pocztową. Kilka nakreślonych słów musiało wystarczyć rodzicom. Na dłuższe sprawozdania brakowało czasu i ochoty.

Całodzienne przebywanie na świeżym powietrzu wzmagало apetyt. Wszyscy, wszystko dokładnie zjadali. Nie znaczy to, że posiłki były aż tak wspaniałe. Przeciwnie, znacznie różniły się od jedzenia domowego. Wyjścia do sklepu po smakołyki były sporadyczne. Kieszonkowe od rodziców było niewielkie. Jednym słowem, bazowaliśmy na tym, co panie kucharki nam zaserwowały. Do wszystkich posiłków siadaliśmy całą kolonią przy jednym długim stole, przykrytym mniej lub bardziej gustowną ceratą. Kadra najczęściej siedziała przy osobnym stoliku, stojącym nieco dalej od naszego. Wyglądał bardzo estetycznie. Zamiast ceraty nakryty był czystym obrusem. Na środku stał wazonik z kwiatkami, no i oczywiście zastawiony był talerzykami, półmiskami... Dodatkowo stał też dzbanek z herbatą lub kompotem, w zależności

od posiłku. Zamiast kubków, często obtłuczonych, mieli oni szklanki w brązowych koszykach. Już wówczas przyszło mi do głowy, że jak będę duża, to też zostanę panią wychowawczynią i będę siedziała przy takim suto zastawionym stoliku...

W pierwszym dniu pobytu na koloniach każdy obowiązkowo miał spotkanie z higienistką sprawdzającą czystość głowy. Z tym bywało różnie. Podejrzewam, że gorszy stan czystości naszych głów był po powrocie do domu. Niedokładnie spłukane włosy oraz piasek na głowie sprzyjały wyleganiu się i rozmnażaniu uciążliwych żyjątek.

Wychowawców zbyt mało nie absorbowali. Monotonia programu mobilizowała kolonistów do wymyślania zabaw. Miało to też swoje dobre strony. Integracja siłą rzeczy następowała bardzo szybko. Kilka lat później, doszła atrakcja popołudniowych spacerów do nielicznych miejsc, gdzie znajdowały się telefony na żetony. Na chwilę obecną trudno wyobrazić sobie, ale był to czas, w którym istniały tylko telefony stacjonarne. Jedynie uliczne automaty dawały szansę na bezpośrednie połączenie z domem. Początek takiego dnia znacznie się różnił od poprzedniego. Jedzenie było urozmaicone, wychowawcy na nikogo głosu nie podnosili, świetnie były zorganizowane zajęcia, nic do zarzucenia. Uśmiechnięci, w dobrym nastroju maszerowaliśmy, aby usłyszeć w słuchawce telefonicznej, choć przez chwilę, głos stęsknionej mamy. A dzisiaj mamy telefon w kieszeni każdego kolonisty, nieograniczony kontakt z opiekunami i mnóstwo skarg na wszystko. Dni pełne zabaw, atrakcji, czyli takie, jakie są obecnie na koloniach, ja miałam tylko w dniu owej wyprawy do telefonu. Uśmiechnięta pani wychowawczyni stojąca obok telefonu podczas naszej rozmowy, pilnie słuchała skrótowych opowieści, a równocześnie zapewniała rodziców o swojej opiekuńczości. Kablek od słuchawki był wyjątkowo krótki, nie pozwolił na oddalenie się od aparatu telefonicznego. Nie jednemu z tęsknoty za mamą łezka w oku się pojawiła. Widząc łzy, bystra pani wychowawczyni zawsze prosiła o zakończenie rozmowy, ze względu na długą kolejkę oczekujących kolonistów. W następnych dniach pobytu wszystkie atrakcje

kolonijne były takie same jak co dzień aż do następnej wyprawy. I tak miały trzy długie tygodnie.

Na grupowy wypoczynek dla dzieci, przeznaczano zazwyczaj stare ośrodki wczasowe. Na pierwszy rzut oka robiły dobre wrażenie, zwłaszcza domki wolnostojące. Wystarczyło zabezpieczyć wylatujące, pęknięte szyby, oczyścić pajęczyny w rogach pomieszczeń, wygonić miotłą wszelkie robale chodzące po podłodze i domek był już gotowy do użytku. Unoszący się w powietrzu zapach stęchlizny to żaden problem. Ładna pogoda, otwarte okna i wszystko da się wysuszyć. Przyjechalśmy płuca napęlniać świeżym powietrzem, bezpiecznie się kąpać w morzu i bawić się z innymi dziećmi ile dusza zapagnie, a nie siedzieć w domkach, na łóżkach z wygniecionymi materacami. Wszystko ma dobre strony. Po powrocie do domu każde z nas bardziej doceniało to, co ma.

Dla rozróżnienia poszczególnych grup, przez cały dzień, nosiliśmy zawiązane na szyi trójkątne chusty. Jedna grupa miała żółte, inna zielone, jeszcze inna czerwone. Utrzymywanie porządku w pokoikach należała, rzecz jasna, do obowiązku użytkowników. Każdego dnia specjalna komisja powoływana z innych dzieci, zaraz po śniadaniu robiła przegląd czystości w pomieszczeniach. Wszyscy wychodzili z pokoi i czekali z niecierpliwością czy będzie na łóżku „pilot”, czy tym razem nie będzie. Wystarczyło nienaciągnięte równiutko prześcieradło, bądź też wyrzuszona kołdra, aby komisja wszystko na łóżku powywracała „do góry nogami”. Przyznaję, że zaliczyłam kilkakrotnie taką wpadkę, aż wreszcie nauczyłam się, ścielić łóżko jak należy. Będąc w komisji, zawsze starałam się coś dopatrzeć, by nie zostawić „pilota”. Skoro ja nauczyłam się wzorowo ścielić łóżko, uważałam, że moje koleżanki i koledzy, też byli w stanie to zrobić.

Lata miały, a wraz z nimi, warunki na koloniach ulegały poprawie. Dojeżdżałam już autokarem, oczywiście bez toalet i klimatyzacji. Za tą ostatnią służyły otwarte okna. Zmieniło się wyposażenie sali, w których spaliśmy. Łóżek było mniej, a wzdłuż jednej ściany stały różnorodne meble, niezbędne w ciągu roku szkolnego. Swoim wyglądem przypominały segment pełen szafek, szuflad, półek. Zamiast tekturowej walizki

z ubraniami pod łóżkiem, najczęściej leżały plecaki ze stelażem i miały swoje wyznaczone miejsce. Odzież układaliśmy na półkach w segmencie. Nie było już wykrochmalonego białego parawanu, zastąpił go pokój nauczycielski, w którym spały panie wychowawczynie. Kierownik kolonii miał oddzielny, oczywiście najładniejszy pokój. Chęć bycia w przyszłości panią wychowawczynią dojrzewała z roku na rok. Obserwowałam bacznie pracę całej kadry, przyznaję, nie była łatwa. O funkcji kierownika, nawet nie marzyłam.

Korzystając z nieobecności opiekunki w sali w czasie ciszy nocnej, po cichutku, aby czujne uszy wychowawczyń nie słyszały, rozprawiano się z kolonistami, którzy odstawali od grupy lub skłócali jednych z drugimi. Kiedy taki delikwent leżał już w łóżku, wcześniej wyznaczone osoby podchodziły do niego, kocem mocno przykrywały mu głowę, aby zbyt nie hałasował, a reszta spuszczała mu lanie. Ci bardziej pomyślowi zwijali mokry ręcznik w rulon i okładali go nim. Delikwent doskonale wiedział, za co ma kocowę, dlatego nawet nie pomyślał o skardze do pani. Obecnie, wspominając tego typu akcje, stanowczo ich nie popieram. W inny sposób można było załatwić takie historie.

Nieobecność wychowawców w pomieszczeniu znacznie ułatwiała urządzanie tak zwanej zielonej nocy. Była to, podobnie do dzisiejszych czasów, ostatnia noc na koloniach. Różne mieliśmy pomysły. Śpiących malowaliśmy pastą do zębów, zamienialiśmy częściowo już spakowane plecaki między pokojami, przywiązywaliśmy do łóżka śpiącą osobę lub związywaliśmy sznurówkami buty różnych par. Nie byłam zwolenniczką tego zwyczaju, ponieważ następnego dnia, zamiast szybko się dopakowywać, to w pośpiechu trzeba było szukać pochowanych rzeczy, rozwiązywać buty czy myć się z pasty. Niepisane prawa kolonijne były jednak górną. Dlatego wołałam czynnie uczestniczyć w zielonej nocy, wówczas moje rzeczy były na miejscu. Ci, którzy spali snem twardym, rano najwięcej mieli pracy.

Kolonie, na które jeździłam, nauczyły mnie przede wszystkim samodzielności od najmłodszych lat – liczenia na siebie i tylko na siebie. Tu w obronie nikt nie stanął, nie było skarg, interwencji. Tu była szkoła

życia. Nauczyły mnie również życia wśród dzieci z różnymi charakterami, dostosowania się do różnorodnych sytuacji... Mimo wszystko pozostawiły po sobie miłe wspomnienia. Pierwsze sympatie okazywane w sposób bardzo subtelny, przyjaźnie, czasami trwające kilka lat, po raz pierwszy zobaczyłam morze, góry. Nauczyłam się wielu nowych gier, zabaw, które dzisiaj są już mało znane.

Musiało minąć wiele lat, aby kolonie uległy pełnemu przeobrażeniu. Dojazdy autokarami klimatyzowanymi z toaletą, na miejscu czekają pokoje kilkusobowe z łazienkami wyposażone w niezbędne meble. Program wypoczynku jest do wglądu. Jadłospis układany przez dietetyka i teraz to wychowawcy dwoją się i troją, aby zrealizować często zbyt przeładowany program. A do tego wszystkiego zrealizowałam swoje marzenie.

Zostałam wychowawczynią i wyjątkowo szybko otrzymałam funkcję, o której kiedyś nawet nie marzyłam. Mowa tu o funkcji kierownika wypoczynku.

W następnych rozdziałach postaram się przywrócić wspomnienia jako wychowawca i kierownik wypoczynku.

## Jak zostać wychowawcą?

**W** dzisiejszych czasach zrobienie kursu wychowawcy kolonijnego to zazwyczaj kwestia trzech dni. Są również i takie osoby, które ukończyły go w tempie ekspresowym, w ciągu jednego dnia. To jednak wyjątki. Często bywa tak, że wychowawca potrzebny jest „na wczoraj”. Kandydat, rzecz jasna, zarekomendowany organizatorowi wsiada do autokaru z zaświadczeniem o niekaralności i podróż kończy z zaświadczeniem o odbyciu kursu na wychowawcę kolonijnego... Wystarczyło mieć z sobą laptopa, wyszukać odpowiednią stronę, uzupełnić kwestionariusz, odpowiadając na pytania, skorzystać z odpowiedzi podróżującej kadry i gotowe. Podczas wspólnie zdawanego egzaminu towarzyszyło sporo śmiechu. Mnóstwo wątpliwości i różniących się od siebie odpowiedzi! Najważniejsze, że cel osiągnięty i sytuacja opanowana. Tego ekspresowego systemu, nie polecam.

Osobiście egzamin zdawałam, jak przykazano, czyli w sali wykładowej, w oddalonych od siebie ławkach, na których nie mogło być nic więcej poza kartką i długopisem. Atmosfera pełna napięcia dodawała powagi egzaminowi. Prowadzący wykłady chodził po sali, zerkając czy aby nikt ze zdających nie ściąga. Na szczęście, zdałam bez problemów za pierwszym razem. Radość moja była tym większa, gdy okazało się, że wśród słuchaczy, w większości dużo młodszych ode mnie, znalazło się całkiem sporo osób do poprawki. Z zaświadczeniem ukończenia

kursu na wychowawcę kolonijnego mogłam pisać CV. Ze względu na fakt, że papier wszystko przyjmie, większość kandydatów nie ogranicza się w przypisywaniu sobie różnorodnych umiejętności i zalet. Będąc już kierownikiem, dużo się tego naczytałam. W takich CV prym wiodło zamiłowanie do pracy z dziećmi w różnym wieku, wręcz nie wyobrażają sobie spędzenia wakacji w inny sposób, jak pracując na koloniach. W dodatku nie mają problemu w nawiązywaniu kontaktu z dziećmi, radzeniu sobie w trudnych sytuacjach. Są świetnymi animatorami, są kreatywni i odporni na stres. A także grają na gitarze, tylko czasami zapominali jej zabrać. Od śpiewania też nie stronią. Dodatkowych umiejętności co niemiara, a ile języków znają i ilu się właśnie uczą! Moje pierwsze CV było bardzo skromne, ale prawdziwe. Nie przyszło mi do głowy, aby je upiększać.

Zbliżał się sezon turystyczny. Przyszedł czas na poszukiwania w komputerze ogłoszeń biur podróży potrzebujących wychowawcy. Spisywałam adresy mailowe i hurtowo wysyłam swoje skromne CV. Prędzej czy później ktoś odpisze – tak sobie myślałam. Po tygodniu, a może nawet dwóch, dostałam maila od kobiety zajmującej się rekrutacją. Zaproponowała rozmowę na Skypie, ze względu na znaczną odległość od mojego miejsca zamieszkania. Teraz tylko zrobić jak najlepsze wrażenie, powiedzieć to, co chce usłyszeć pracodawca. Oczywiście stres przed rozmową miałam ogromny. Postanowiłam wyzbyć się sztuczności, a rozmowę poprowadzić na luzie. Można sobie wiele postanawiać, ale kiedy godzina rozmowy jest coraz bliżej, negatywne emocje zaczynają nad wszystkim brać górę. Usłyszałam znajomy sygnał z laptopa i szybko odebrałam połączenie. Na ekranie pojawiły się dwie młode kobiety. No tak, wezmą mnie w obroty – pomyślałam. Trudno, przecież teraz się nie wycofam. Powitałyśmy się promiennym uśmiechem rozluźniającym atmosferę i jakoś poszło. Pytania rzeczowe, podobnie jak odpowiedzi: czy pracowałam już z dziećmi, czym zajmowałam się do tej pory? Panie opisywały różne sytuacje, a moim zadaniem było wyczerpująco odpowiedzieć, jakbym się wtedy zachowała... Po prawie godzinnej rozmowie rozmówczynie wiedziały, co sobą reprezentuję, a ja czego ode mnie

oczekują. Efekt tej rozmowy był taki, że zostałam zakwalifikowana na wyjazd do Bułgarii w charakterze wychowawcy kolonijnego. To był mój jeden z najszcześniejszych dni. Pojadę na całe 10 dni do kraju, w którym jeszcze nie byłam, w którym słońeczko pięknie grzeje i wrócę zapewne opalona – takie myśli nachodziły moją głowę.



## Pierwszy wyjazd, pierwsze doświadczenia...

**W**yjazd coraz bliżej i strach miesza się z radością. Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, czego było więcej. Nic nie słyszałam o bułgarskich koloniach, nie czytałam o nich na forach, nie rozmawiałam z doświadczonymi wychowawcami, bo takich nie znałam. Może to i dobrze. Krótko mówiąc, jechałam w ciemno. W autokarze poznałam drugiego wychowawcę. Mimo młodego wieku miał za sobą już kilka turnusów. Do Bułgarii obydwójce jechaliśmy pierwszy raz. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że te kolonie, bardzo różnią się od kolonii w Polsce. Piękna pogoda, ciepłe morze, tym cieszyliśmy się najbardziej. Wierzyliśmy, że kilkunastoletnie dzieciaki, które z nami jechały, nie będą sprawiać kłopotów, bo pewnie cieszą się wyjazdem podobnie jak my. Nawet kilkadziesiąt godzin jazdy z krótkimi przerwami, nie było w stanie zakłócić naszego optymizmu. Z każdym postojem powietrze stawało się coraz cieplejsze, a około południa już prawdziwy żar buchał z nieba. To był prawdziwy klimat krajów bałkańskich. Za oknem rozciągały się pola słoneczników, zupełnie inny świat. Im bliżej celu, tym zmęczenie coraz bardziej dawało się wszystkim we znaki. Po drodze nie mieliśmy zapewnionego żadnego posiłku. Nic też dziwnego, że osobny bagaż to potężna walówka i oczywiście napoje. W nocy większość spała, dlatego też postoje były rzadsze. Wreszcie

dotarliśmy do celu. Hotel z zewnątrz wyglądał super! Mnóstwo białych leżaków ustawionych dookoła sporego basenu z błękitną wodą, gdzieś tam palmy z olbrzymimi zielonymi pióropuszcami. Przez szklane drzwi widać było stołówkę, a w niej długi szwedzki stół ze smakołykami. Ależ czad! Przed recepcją czekał kierownik hotelu. Bardzo sympatyczny człowiek, nieco starszy od nas wychowawców. Do niego należało zakwaterowanie. Niestety, po wejściu do poszczególnych pokoi, czar prysnął. Łóżko obok łóżka, ledwo mogliśmy przejść między nimi. Fakt, pokoje były cztery – i pięcioosobowe, tak jak napisane było w ofercie. Nikt nie będzie przecież pisał o ich małym metrażu. Najważniejsze, że są balkony. Zakwaterowanie zrobione, usterki spisane. U niektórych klimatyzacja nie działała, drzwi z zawiasów wypadały, telewizor bez pilota, sprężarka od sedesu uszkodzona, z kranu woda kapie ... Trochę się tego uzbierało. Z naprawą trzeba było poczekać. W tej chwili nie pamiętam, ale to była kwestia kilku dni. Pokoi dużo, rotacja turystów spora, więc nie ma się co dziwić. Staralam się uspokoić obozowiczów, którzy mieli zamiar donieść o usterekach swoim rodzicom. W rekompensacie pokój z usterką klimatyzacji dostał od hotelu wentylator i po sprawie. Pokój nie jest do siedzenia, noce na pewno będą nieco chłodniejsze, niech nie marudzą. W Polsce im chłodno, a tutaj za gorąco, ciągle coś nie pasuje. Otworzą drzwi do pokoju i okno balkonowe na oścież i już przeciąg będzie. Blisko plaża, ciepła woda, błękit nieba, w programie wycieczka, czy może być coś wspanialszego? Powinniśmy więcej dostrzegać rzeczy pozytywnych, a nie we wszystkim szukać dziur. Nasz pokój, czyli mój i kolegi był również mały, ale za to przytulny. Dwa łóżka oddzielone szafką, wąska szafa na ubrania i lustro. Wąski przedpokój i mała łazienka. Dobrze, że nie należę do kobiet wożących ze sobą osobną walizkę z kosmetykami. Trzeba było jeszcze wcisnąć gdzieś pudło ze sprzętem dla grupy. Co dwie głowy, to nie jedna. Poradziliśmy sobie ze wszystkim. Obóz w sumie mały, bo liczył czterdziestkę dzieciaków w wieku od dwunastu do siedemnastu lat, dwóch wychowawców, czyli my i kierownik mieszkający w hotelu oddalonym o kilkanaście kilometrów. Sami byliśmy sobie sterem i żeglarzem, oczywiście w kłopotliwych

przypadkach kierownik służył pomocą. Wieczorem poszliśmy przywitać się z morzem i poznać okolice naszego hotelu. Dzieciaki są jednak niezniszczalne. Regeneracja ich organizmów następuje w błyskawicznym tempie. U starszych widziałam błysk w oczach na widok dużej ilości sklepów z różnymi trunkami. Na szczęście większość przyjechała z młodszym rodzeństwem. Pilnowali ich na każdym kroku, podejrzewam, że mama nakazała. Znaczący, młodzi pilnowali tych starszych. Wystarczyło, że dłużej zatrzymali się przy piwach, zaraz miałam telefon: „proszę pani...”, skarżyli, bo oni patrzą w sklepie na piwo i zaraz pewnie je kupią... Nie sposób było ich upilnować. Każdego wieczoru chodziliśmy z kolegą po pokojach, zerkając tu i tam, w poszukiwaniu ukrytego browarka. Dodawali sobie nim animuszu przed dyskoteką. Jeden z pokoi szczególnie wydawał się nam podejrzany.

– Szukaj ty – powiedziałam do kolegi przed wejściem. – A ja będę obserwowała zachowanie chłopców.

Najwyraźniej gdzieś coś ukryli. Kolega zerknął jakby od niechcenia w kilka miejsc i powiedział głosem zrezygnowanym:

– Wychodzimy.

Dlaczego wyszliśmy, na sto procent przecież coś mają! – I tu mnie zaskoczył. Wyszliśmy dla zmyłki. I bingo.

Kiedy ponownie szybko otworzył drzwi, tym razem bez pukania, chłopcy spokojnie wyjmowali piwo spod łóżek. Jedni zdążyli już zacząć pić, inni dopiero po niego sięgali. Niestety, u niektórych znaleźliśmy puste już butelki po alkoholu. Nie wiadomo, po co je trzymali, zamiast wyrzucić do kosza. Nie mogliśmy zbagatelizować tego faktu. Cała grupa z pokoju przekonała się, że uśmiech nie zawsze gości na naszych twarzach. Usłyszeli inny ton, poznali nas od strony stanowczej. Bycie „dobrą ciocią” czy zniżanie się do poziomu wychowanków w sytuacji, gdy zostało popełnione wykroczenie, nie było w naszym stylu. Zawsze z podopiecznymi dzielił mnie mur różnej grubości, raz cieniutki niczym pajęczynka, a raz gruby i szorstki. Kolega wychowawca, mimo młodego wieku, również świetnie sobie radził. Przestrzegałam go przed przejściem z wychowankami na „ty”. To podstawowy błąd popełniany przez

młodą kadre. Kiedy wychowawca staje się dla obozowiczów kolegą, szybko zaciera się dystans między nimi. Ogólnie z grupą nie mieliśmy większych problemów. Oni przestrzegali tego, o co my prosiliśmy, a my przystawaliśmy na nasze prośby. Staraliśmy się, aby wyjechali do domu z pozytywnymi wspomnieniami i chęcią ponownego powrotu, może i razem z nami. Podczas drogi powrotnej przypominaliśmy sobie różne chwile. Już z uśmiechem wspominaliśmy sytuacje, które nieco ciśnienie nam wszystkim podniosły. Młodość ma swoje prawa, z tym też trzeba się pogodzić. Nie zabrakło łez wzruszenia podczas rozstania. To był bardzo udany turnus.